Od Czarnolasu do... Palestyny

Zygmunt Wasilewski o poezji brandstaetterskiej

W okresie jednej z „sensacyj" bolowskich, a mianowicie artykułu dzisiejszego akademika o rzekomem otruciu Adama Mickiewicza, doszedł do pewnego rozgłosu niejaki p. Roman Brandstaetter, autor broszurki pseudonaukowej p. t. „Legjon żydowski A. Mickiewicza". Broszurka doczekała się już zasłużonej, druzgocącej oceny prof. St. Pigonia, a w świeżo wydanej książce St. Piaseckiego „Prosto z mostu" znajduje się w jednym z rozdziałów niemniej ostra z nią rozprawa. P. Brandstaetter, który w owym czasie rozpychał swoje „fachowe" artykuły w prasie polskiej (m. in. w „Gazecie Polskiej"), dziś już jest publicystą żydowskim, filarem tygodnika „Opinja" i jednym z najbardziej natrętnych krzykaczy wojującego semityzmu.

W ostatnim numerze „Myśli Narodowej" zajął się bliżej p. Brandstaetterem (który w wolnych chwilach od innych zajęć jest także poetą), znakomity krytyk i myśliciel, Zygmunt Wasilewski. Artykuł Wasilewskiego nosi tytuł „Wzór poezji judeo - polskiej" i jak wszystko, co wychodzi spod pióra Wasilewskiego, ujmuje kwestję głęboko, z przykładu poezji brandstaetterskiej wyciągając wnioski zasadniczego znaczenia. Toteż świetny ten artykuł pozwalamy sobie poniżej przytoczyć w dużych wyjątkach:

„Szczykające dójki"

„Pierwszy zbiorek młodego i „obiecującego" poety — pisze Wasilewski —, zaczynał się od strof, poświęconych muzie czarnoleskiej:

„Muzo, co bólu nic nie skąpisz,
jak życiu Bóg nie skąpił śmierci,
pozwól mi śpiewać zieleń Dąbi,
a w czas gorąca cień żołędzi".

Motywy przyrody: dębu i żołędzia, autor wprowadził jakąś niepewną ręką; zdaje się, chciał im nadać formę przymiotnikową... Następna zwrotka zaznajamia nas z uczuciem patrjotycznem poety:

„Pozwól mi, Panno, poznać siebie,
miłować świętą polską mowę,
być, jak to ziarno w czarnej glebie
i złotem słońcem nad Krakowem".

Zapamiętajmy sobie te śluby, mową Kochanowskiego składane. Poeta zakwaterował się nawet w Czarnolesie — w modrzewiowym domu i tu czeka na przybycie Hanny. „Żniwiarki" — powiada — „naostrzę na twoje to przyjście"... Myślał pewno o sierpach. „Żniwiarzom" — powiada — „potrójną dam dzisiaj zapłatę, po trzykroć wygonię na pola bezkresne rumaki zażywne i krowy łaciate". Biedne krowy, po trzykroć gonione, dobrze się jednak wypasą, przynajmniej poeta obiecuje sobie, że „tryśnie tłuste mleko z szczykających dójek". Dosłownie: „szczykających", ale motyw znowu niepewny, bo dójką nazywamy kobietę, która doi...

Motyw krowy często w zbiorku tym się powtarza:

„Obora pewnie kryta, parskająca stajnia,
świętego obornika żywiczna pasieka,
w skopcu bulgot śnieżysty spienionego mleka,
wydanego obficie z wymion urodzajnych..."

Krowy są według niego „obłe", skoro dobrze odżywione, a „żywicą" jest wszystko, co pożywne dla życia, więc i obraz zboża (= pole), nawiezionego „żywicą łajna" sprawia mu satysfakcję poetycką; obornik (nawóz) jest święty. Poeta zna się z „obornikiem" i mleczywem po gospodarsku, może tylko merkantylnie, jak to w „pachcie", ale że daleko mu do kongenjalności z kmieciem polskim i z Kochanowskim, dowodem to, iż poznawane rzeczy wiejskie grają na nim fałszywemi słów klawiszami. Gdy szczelinę (pęknięcie) w ziemi nazywa „rozworą", to widzimy, że wozem już mniej się interesował, niż nawozem.

W każdym razie wiersze te świadczą, że pisarz chciał być poetą polskim, wkorzenionym w polską ziemię, przynajmniej w obornik, w polską pracę, w polską twórczość. Pod czarnoleską widzimy go lipą, pijącego miód, albo — co pewniejsza — mleko.

Poetą tym jest p. Roman Brandstaetter. Zbiorek, o którym wyżej, ukazał się w druku w r. 1928".

Rtęciste bukoliki

„Młody izraelita — pisze dalej Wasilewski — uległ czarowi kultury polskiej w Krakowie; studjował polonistykę; za przykładem młodzieży polskiej, próbującej pióra, zaczął, jak widzimy, pisać wiersze, wżerające się w „rzeczywistość polską". Tego pędu pożyczył sobie od aryjskiego otoczenia, ale wyróżnić się musiał od niego jako artysta specyficznie semickim rodzajem wyobraźni zmysłowej. W poezji poznaje się żydów po tem, że wszystkie ich metafory są mięsiste, wilgotne, lepkie, soczyste, woniejące i smakowite. Pochodzi to stąd, że wyobraźnia żydowska w stanie pierwotnym, póki się nie zintelektualizuje, ma do dyspozycji w obrazowaniu materjał, dostarczany przez zmysły najniższe: dotyku (skórny i mięśniowy), smaku i węchu, lub kombinowany z tych trzech źródeł. Dla poety, o którym mowa, woda np. jest „rtęcista" (od rtęć), malując żywioły widzi, jak „ścieka bursztyn na ziemię lepką strugą żywicy", w lesie „chojary pachną słodko tłustym żywicy ogniem(?)", drwal w lesie „żyznym potem tężyzny sapie w zapale", piła „miąższu przecina żyły", sosny „wyciągają żywność z gleby", pole nawozi się „żywicą łajna", ziarno „z zardzewiałej ręki" siewcy wraca w „szorstki żywot" „potniejącego gruntu", krowy spoczywają na „mokrej, miękkiej trawie wyswobodzone od nadmiaru mleka, błyszczące potem, co z wonnej skóry ścieka" i „z rozkoszą toną w woni własnego mięsiwa" i t. d. Po tej właściwości można rozpoznać rasę poetów, którzy zmienili nazwiska na słowiańskie".

W dalszym ciągu artykułu przedstawia Wasilewski, jak Brandstaetter rychło zrywa z katolikami, zbliżając się do coraz żwawiej organizującego się środowiska żydowskiego. Owocem pracy młodego polonisty jest wzmiankowana już na wstępie broszura „Legjon żydowski A. Mickiewicza". Nieco przedtem tomik wierszy p. t. „Węzły i miecze".

Wybryki „katolickie"

„Z wierszy tam zamieszczonych widać, — pisze Wasilewski — że autor już był się zapuścił głęboko we wnętrze duchowości polskiej. Nęciły go już świętości polskie. Zaczął od wsi polskiej, przeszedł do Mickiewicza, a potem zagłębił się w zagadnienia dogmatyczne katolicyzmu. Penetracja żydowska w głąb cudzego organizmu duchowego narodu, nawet gdy odbywa się za popędem ciekawości i głodu, nigdzie nie zatrzymuje się dłużej; przytem zawsze ma w sobie coś drapieżnego, jakbyś igrał z oswojonym drapieżcą. Poprostu dusza żydowska nie znajduje dla siebie dogodnego miejsca w łonie cywilizacji aryjskiej, niszczy każdy przytułek, dolega i uchybia świętościom.

P. Brandstaetter, leży to w jego naturze, — nie zatrzyma się u wrót kościoła; on odrazu sięga ręką do wielkiego ołtarza; gospodaruje. Ciekawy był katolicyzmu, studjował, jak widać, podobno miał zamiar przyjąć katolicyzm, ale — oto — jaki czyni z wiedzy użytek. Oto anioł

„Skrzydłami zaszeleścił pod gwiaździstym stropem
I nad cieśli niewiastą krótko zakołował;
Anioł, promieniejący światła szklanym snopem,
Samotnie jej doznawał i s ł o d k o s m a k o w a ł..."

Kończy się zaś sonet:

„A oddając swe serce bezwolnie, lecz wiernie,
Uczuła na swych wargach chłodny smak goryczy,
Krzyż pomiędzy biodrami, a na skroniach ciernie".

Dalej następuje Golgota, potem św. Piotr, którego autor nazywa swoim przyjacielem. Wogóle w kulcie Chrystusa czuje się, jak u siebie, widocznie się wzrusza, skoro Bóg staje się motywem jego uniesień poetyckich, a przecież jest bez pokory i drapieżny. Nie przyjdzie mu do głowy wzgląd, że jest w cudzym domu i że tyka świętości. W wierszu p. t. „Francja" pozwala sobie cynicznie na typowo żydowską nachalność względem Joanny dArc. W wierszu tym p. Brandstaetter „czuje na swojej dłoni ostatni uścisk Joanny d'Arc. Na ustach stygnie ciepło jej ust i goryczy jej ciała"...

„Grzechem jest nawet woń twych warkoczy.
Twe wargi bolą. Miłość to grzech..."

A dalej zapowiada „Świętej Joannie", że czeka ich oboje śmierć:

„I oto wkrótce płomienie groźne
Pod nasze ciała ciepłe i zdrożne
Podłoży zwolna czerwony kat".

To, że piszę o tych paskudnych wybrykach pióra, popełnianych na rachunek poezji polskiej, nie znaczy, bym to robił z potrzeby krytyki literackiej. Nie, to jest dokument okazany dla celów publicystycznych. Oto próbka, co się robi z kulturą polską, gdy jej korzeń podgryza czerw. Oto poezja „niepodległej Polski"!"

Do Palestyny?

Tu dodaje Wasilewski szczególnie zabawny. Oto ten sam Brandstaetter, który pisał powyższe wiersze dziś, gdy już odżeglował spowrotem do semityzmu, wytoczył „Myśli Niepodległej" proces o... znicwagę za artykuł St. Pieńkowskiego, w którym przypomniano, że autor zbiorku „Węzły i miecze" chciał przejść kiedyś na katolicyzm...

„Pod koniec r. 1933 p. Brandstaetter — pisze dalej Wasilewski — pomimo wytoczonego procesu zaszczycił nas upominkiem w postaci nowego zbiorku poezyj p. t. „Królestwo trzeciej świątyni" (z datą 1934). W książce tej swawolny żydek już się żegna z muzą Czarnoleską. W r. 1928 składał jej śluby.

„Dziś wiem, o dziewczę słodkie o błękitnych oczach,
Wiotka, polska panienko z czarnoleskich polan,
Że dłoń moja nie spocznie na twoich warkoczach,
A śmierć mnie nie zastanie u twych smukłych kolan".

Nie dba, czy „polska panienka" tem się zmartwi" i blagnuje dalej:

„A od tej chwili spokój znajdę w srebrnej mowie,
Boleścią mych praojców i ich krwią drgający,
I cieniem mnie owieje niepolskie sitowie,
Ni zasmucą brzeziny, ni włochate kłącze.
Lecz nagle się ulotni parny oddech knieci,
Jak z palców nieostrożnych roztarta woń róży,
Gdy pod gwiezdną kopułą białej Galilei
Uczuję śmierć, rosnącą w mej żydowskiej duszy,
Wówczas ponad krwi mojej najbujniejszej bicie,
Ponad drżenie twych piersi i bielutkiej dłoni,
Droższe będą mi palmy, muły i winnice
I ciężki zapach siana, bijący z konji".

Adjo!... Jedzie do Palestyny, „nowe z sobą" — jak powiada — „zapach warg polskich" muzy czarnoleskiej. Ale mu nie wierzymy. Poco ma jechać? On tu zostanie, będzie bluźnił Polsce, prowokując serce „sanacji" pieśniami na cześć nowej (od lipca 1933) ojczyzny. To nowa już, prawdziwa (pod „chajrem") ojczyzna; ma tutaj dla odmiany ten dożuan olimpijski „śniade ramiona, toczone jak kość słoniowa". Muza żydowska „dłonie ma słodkie, jak owoc hebrajskiego granatu" itd. „Ojczyzno moja Cedrowa i moje państwo hebrajskie!" — woła obywatel państwa polskiego, polonista, poeta polski; ma już dwa państwa!

Ale w Polsce pozostanie i walczyć będzie wymową swych plwocin w „Opinji", „Nowym Dzienniku" — z nacjonalizmem polskim, odmawiając Polakom prawa wolnego tworzenia swej ojczyzny".

Czas odnowić prenumeratę na miesiąc styczeń

Mówią... piszą...

„Słowo" o Nowaczyńskim

Adolf Nowaczyński wydał świeżo dwa tomy: jeden z nich to zbiór szkiców literackich p. t. „Tylko dla kobiet", drugi — to zbiór artykułów politycznych p. t. „Perły i plewy".

O drugim z tych tomów pojawił się w wileńskiem „Słowie" (organie sanacyjnych konserwatystów) artykuł pióra naczelnego publicysty tego pisma C a t a (pos. St. Mackiewicza). Artykuł jest tem godny uwagi i w stosunkach polskich rzadki, że Mackiewicz, acz polityczny antagonista Nowaczyńskiego, umie się zdobyć na objektywizm w stosunku do przeciwnika i uznać w nim — świetnego pisarza. Artykuł przytaczamy poniżej w całości:

„Jeden z najruchliwszych i najwybitniejszych dziennikarzy Europy, p. Adolf Nowaczyński wydał tom swoich artykułów. Jest to zacięty przeciwnik konserwatystów krakowskich, wogóle Krakowa, ś. p. Ehrenberga, żydów, Niemców i t. d. i t. d. — nie będę wyliczał wszystkich, kogo p. Nowaczyński zwalcza i ośmiesza. Jest to nasz przeciwnik polityczny, jest to publicysta endecki. Myśl jego jednak nie umie siedzieć w klatce i czasami daje susa wbok, wgórę, wdół. Do swego tomu artykułów znanych nam z prasy dołączył p. Nowaczyński wstęp, w którym bardzo ciekawie charakteryzuje pracę dziennikarza:

„Nie wszyscy piszący u nas dysponują wolnym czasem, a raczej żaden z naszych piszących wolnym czasem nie dysponuje. Wobec tego między moją propozycją napisania wstępu a otrzymaniem tegoż wstępu mógłby zaistnieć zbyt długi, jak na dzisiejsze tempo życia, okres czasu. U nas bowiem pracuje się powolnie, spokojnie, flegmatycznie, bez niepotrzebnego wysilania się i wytężania, z długiemi interwallami i interludiami. Jest nadal olbrzymia różnica pracy pisarskiej publicystyki zachodnio- i środkowo - europejskiej, a naszą. Na przykładzie ograniczymy się tylko jednym, to jest na grupie w Polsce mało znanych pisarzy przy „l'Action Francaise". Jest ich kilku, którzy od lat kilkunastu dzień w dzień dają swemu pismu kukasct wierszy druku. Wśród nich jest dwóch, raczej trzech, którzy wydają rok w rok po dwie, trzy książki. A jest jeden, dla którego zadzierżystej, rycerskiej odwagi, hartu, męstwa, energji, żywotności, cudownie jasnego umysłu, dla którego humoru, dowcipu, fantazji, dla którego niezmożonej, niestrudzonej, niewyczerpanej, niestygnącej pracowitości respekt żywiąc niestygnący, wzorować się staram w miarę sił i środków: Leon Daudet. Skąd ten człowiek ma tyle... czasu... wolnego.... to jest oddawna drażniącą zagadką dla mnie, obserwującego tempo i wydajność pisarzy sarmackich, ich spokój, ich flegmę, ich, powiedziałbym, omal islamski: Kismet...

Książka, którą niniejszem przedkładam się Czytelnikom, jest sobie zbiorem, doborem, pokłosiem tak zwanych artykułów pierwszej potrzeby dziennikarskich z ostatnich lat dwóch. Takich doborów czy pokłosi możnaby skolekcjonować z tych lat dwóch czy trzech jeszcze dwa czy trzy. Czegóż to dowodzi? Otóż tego, że i u nas można zdobyć się na wydajność pisarską, zbliżoną do L. Daudeta. Tylko trzeba nieco, jak to mówią, przysiąść fałdów, zdecydować się na mniejwięcej czternasto- a bywa że i szesnasto-godzinny dzień pracy i trzeba dużo, bardzo dużo czytać. Wystarczy do trzydziestu (30) dzienników dziennie, ale z końcem tygodnia tyleż tygodników i miesięczników; książek się nie liczy. I dobiero z taką intensywnością studjując i pracując przez lat kilka czy kilkanaście, można sobie wyobrazić pewną kulturę publicystyczną, która pomaga potem w jakiem takiem orjentowaniu się w całokształcie (kolejdoskopie) „bieżących zjawisk" socjalnych, narodowych, państwowych, idcowych, literackich, artystycznych. Bez czytania nałogowego niema pisania. Bez pracy nic będzie kołaczy. Poza pracą non est salus. Na jeden dzień ugorowania nie można sobie pozwolić! Dzisiaj, kiedy kontroluje się bieg wypadków na całej kuli ziemskiej, równocześnie, kiedy wszystko wszędzie zbliżyło się tak raptownie, że nie co na świecie już nie jest dla nas nieznanem, obcem (...nihil humani a me alienum puto...), widowisko całe zrobiło się tak bajecznie interesujące, intrygujące, frapujące, dziwne, olśniewające, że nie można ani na jeden dzień przerwać sobie rozkoszy obserwacji i definjowania".

P. Nowaczyński porównuje siebie do Leona Daudeta. To porównanie mnie frapuje, wypowiedział je także Hipolit Korwin-Milewski w swej arcyciekawej książce. Żywość stylu, swoboda w wymyślaniu bliźnim, przekleństwa, połajanki, wymyślania wypisywane z rozkoszą, z dbałością o fonetyczną linję, o głośny rezonans — tak, to ich zbliża. Ale A. Nowaczyński jest więcej intelektualistą, Daudet więcej muszkieterem. Nowaczyński siecze drobnym sarkazmem, Daudet tylko człowiek pióra, w życiu sam siebie charakteryzuje w ostatnim feljetonie z „Wiad. Lit." jako ofermę. L. Daudet, to mówca wiecowy, szermierz, awanturnik, gastronom, waży 100 klg., a opisy kuchni, znakomitych zup, pieczystego i wina są u tego pisarza tak samo cenne, jak wspaniałe lekcje prozy francuskiej. Nowaczyńskiego widzimy tylko w okularach i z piórem, L. Daudeta z autentyczną szpadą w jednej, a solidną łyżką w drugiej ręce.

A talent? Tak talent mają chyba równy. Wielkie talenty dziennikarskie. Cat."

Z nauki i sztuki

Literatura

— **Przed nagrodą literacką Akademji.** Nagroda literacka Polskiej Akademji Literatury zostanie przyznana w ciągu bieżącego miesiąca w wysokości 3000 zł. Przed nadaniem ma Akademja Literatury opracować regulamin przyznawania nagrody. (b)

— **Stypendja literackie.** W bież. miesiącu Wydział Sztuki Min. W. R. i O. P. na podstawie wniosków Komisji Stypendjalnej rozdzielił stypendja literackie. Przyznano je dwudziestu literatom w wysokości 150 zł. każde, płatnych regularnie co miesiąc. (b)

Plastyka

— **Przed państwową nagrodą artystyczną.** Rozpoczęła już swoje prace komisja, kwalifikująca utwory artystów plastyków, zgłoszone do państwowej nagrody plastycznej za rok 1933. Nagroda ta, wynosząca w r. b. 7000 zł., zostanie przyznana w pierwszych dniach lutego. (b)

Z teatrów

Towariszcz

Komedja Jakóba Devala

w Teatrze Letnim

Zanim jeszcze komedję Devala zobaczyliśmy w Warszawie, gdy tylko przyszły pierwsze wieści o jej wielkim sukcesie paryskim, a dyrekcje teatrów warszawskich zaczęły się zastanawiać nad jej wystawieniem, już ukuto w kołach teatralnych wzgardliwą opinję: Francuz o Rosjanach? A cóż Francuz może wiedzieć o psychice rosyjskiej i o Rosji? Białe niedźwiedzie na ulicach Petersburga. Bzdura i tyle.

Ten motyw, nieco jednak złagodzony, pojawił się nawet w kilku recenzjach warszawskich po premjerze. Niby, że specami od spraw rosyjskich możemy być tylko my, a nie jacyś tam dalecy Francuzi. Z przyzwyczajenia odmówiono Devalowi prawa do zabierania głosu w sprawach rosyjskich. Owszem: komedja jest wesoła, dowcipna, świetnie zbudowana i majstersko zrobiona — ale psychologicznie nieprawdziwa.

Nie mogę podzielić tego poglądu. Zdaje mi się, że właśnie jedną z największych wartości komedji Devala jest przenikliwe i bardzo głębokie prześwietlenie duszy rosyjskiej. Prześwietlenie bezwzględne, chwilami nawet okrutne i bolesne, choć autor nie zdaje sobie sprawy ze swego okrucieństwa, nie będąc zdolnym wczuć się w tragedję emigracji. Dlatego pierwszy akt komedji, utrzymany właściwie w tonie farsowym, jest wprost przykry. Dno nędzy materjalnej i moralnej, na jakie stoczyli się w Paryżu były generał carski książe Uratjew i jego żona wielka księżniczka Tatjana, znajduje w Devalu widza tak obojętnego, tak nie umiejącego wczuć się w tragiczne podłoże upadku, że potrafi zeń wziąć materjał do drwiącej farsy. W dwóch aktach następnych dopiero, gdy satyra devalowska bije w dwie strony, gdy równie jest ostra w stosunku do Uratjewych, jak i w stosunku do francuskiej rodziny nowobogackich, u których książęca para przyjęła posady lokaja i pokojówki — komedja odzyskuje równowagę wewnętrzną. Możemy już bawić się nią bez uczucia niesmaku, śmiać się pełną piersią.

Akt czwarty wyprowadza rzecz z tonu farsowo-komedjowego w ton dramatyczny. Tu jest węzeł sztuki, okupujący wszystkie jej niedociągnięcia. Od początku sztuki wiemy, że książe Uratjew jest depozytarjuszem skarbu carskiego, wynoszącego nie mniej nie więcej tylko cztery miljardy franków i że z tego skarbu, złożonego w Banku Francuskim nie wziął dla siebie ani centima, odrzucił wszelkie namowy (poparte obietnicami „prowizji") przekazania go emigracyjnym władzom, czy ulokowania w pożyczce francuskiej. Sam jest w nędzy, żyje nabieraniem ludzi na drobne pożyczki i wyprzedażą garderoby, żona jego dopuszcza się już drobnych kradzieży po sklepach, wreszcie przyjmują oboje posady służby domowej u jakichś tam francuskich dorobkiewiczów, ale ze skarbu ani centima. Wszystkie skrupuły mogły się już wypalić do cna w emigrancie — ale ten jeden nie. Skarb nienaruszony i nietknięty chce Uratjew przekazać prawowitej władzy rosyjskiej, gdy taka będzie, a raczej gdy za taką będzie mógł uznać ją on, Uratjew, bohater wielkiej wojny i carski generał.

Historyjka ze skarbem nie wygląda oczywiście przekonywująco; nie bardzo możemy w ten skarb uwierzyć. Rys wielkości, jaki chciał nadać Devil Uratjewowi staje się przeto nieco sztuczny. Ale tylko do czwartego aktu komedji. Tu już bowiem wyraźnie się okazało, do czego autor zmierzał. Ten skarb to tylko pretekst — mniejsza z tem udany, czy nie — aby móc w dramatycznej scenie końcowej rzucić myśl głęboką, choć niemodną na międzynarodowych targowiskach literackich. Myśl o nadrzędności uczuć narodowych ponad wszystkiemi doktrynkami i programami. Myśl, że zarówno w niszczejącej moralnie, bo odciętej od pnia macierzystego emigracji rosyjskiej, jak i w dzisiejszym bolszewizmie, który od haseł międzynarodowej rewolucji przeszedł już wyraźnie do budowania — poprostu — potęgi imperjum rosyjskiego, najsilniejszy, najbardziej bezpośredni i zawsze żywy jest n a c j o n a l i z m.

Toteż gdy towariszcz Goroszenko, przedstawiciel sowiecki w Paryżu do rokowań o zastawienie kapitalistom francuskim i angielskim kopalń nafty w Baku, zwraca się do carskiego generała Uratjewa z zaklęciem na Rosję — wahanie Uratjewa trwa krótko. Skarb carski, którego nie oddał nikomu, odda teraz Uratjew Goroszence, aby uratować Rosję przed wejściem w zależność od obcych. Kopalnie w Baku pozostaną rosyjskie.

Powie ktoś, że cała ta sytuacja jest f a k t y c z n i e niemożliwa? Być może. Ale jest zato u c z u c i o w o prawdziwa, a to znaczy więcej. I dlatego sztuka Devala wydaje mi się mimo farsowego charakteru pierwszych aktów, jedną z ciekawszych i głębszych sztuk, jakie ostatnio widzieliśmy w Warszawie. Że zaś przytem napisana jest błyskotliwym dialogiem i iskrzy się humorem, przeto jej sukces w Warszawie tak samo jest pewny, jak sukces w Paryżu.

Przedstawienie w Teatrze Letnim wysokiej klasy. Wyreżyserowane pieczołowicie przez C h a b e r s k i e g o, tylko w pierwszym akcie, który należałoby jeszcze bardziej stonować, budzi pewne zastrzeżenia. Im jednak dalej, tem uporczywiej ciśnie się na usta jedno tylko określenie: świetne, świetne!

Odnosi się to zwłaszcza do Ć w i k l i ń s k i e j, która w roli księżnej Uratjew znalazła popis, jakiego dawno już nie miała. Żaden superlatyw nie byłby przesadny, ale zamiast ich wyszukiwać, lepiej powiedzieć: idźcie i podziwiajcie. A nietylko Ćwiklińską: bo obok niej L e s z c z y ń s k i e g o, kapitalnego w roli Uratjewa, i K u r n a k o w i c z a przezabawnego, choć nieco przecharakteryzowanego posła socjalistycznego Arbeziat, i J a n e c k ą, i B u s z y ń s k i e g o i wszystkich, wszystkich do ostatniej rólki.

Nie dadzą się tylko podziwiać dekoracje (K. G a j e w s k i e g o). W pomyśle banalne, kolorystycznie wręcz brzydkie.

Stanisław Piasecki.